

Harry wszedł zaledwie kilka metrów w las, a już ogarnęła go niezwykła, wręcz nienaturalna cisza. Latarką oświetlał ziemię tuż przed sobą, bo za każdym razem, gdy snop światła omiatał las, cienie zdawały się rozbiegać między drzewami jak przestraszone duchy, podążające w mrok. Odizolowanie od ciemności w bańce światła nie przydawało ani trochę poczucia bezpieczeństwa. Przeciwnie, świadomość, że jest najbardziej widocznym elementem poruszającym się w lesie, czyniła go obnażonym, bezbronnym. Gałęzie drapały go w twarz jak palce ślepeca, który pragnie rozpoznać nieznajomego.

Ślady prowadziły do strumienia, którego plusk zagłuszył jego własny, nieco zbyt szybki oddech. Tam jeden ze śladów zniknął, natomiast ten drugi przemieścił się wzdłuż strumienia nieco niżej.

Harry szedł do przodu. Strumień skręcał raz w jedną, raz w drugą stronę, ale on się nie martwił, że straci orientację. Przecież będzie mógł wrócić po śladach.

Rozległo się ostrzegawcze pohukiwanie sowy, która musiała być gdzieś w pobliżu. *Tarcza* zegarka na nadgarstku świeciła słabym blaskiem na zielono i pokazywała, że Harry idzie już od ponad kwadransa.

Najwyższa pora zawrócić, przysłać tu ludzi w porządnym bułach i ubraniu, z psem, który nie boi się lisa.

Nagle serce mu zamarło. Coś otarło się o jego twarz. Bezszelestnie i tak szybko, że nie zdążył nic zobaczyć. To coś zdradził jedynie ruch powietrza. Moment później usłyszał bicie skrzydeł o śnieg i żalony pisk niewielkiego gryzonia, który właśnie stał się zdobyczą.

Wolno wypuścił powietrze z płuc. Ostatni raz omiół las światłem latarki i odwrócił się z zamiarem powrotu. Zrobił krok, ale się zatrzymał. Chciał zrobić jeszcze jeden, jeszcze dwa, wrócić. Ale zrobił to, co musiał. Jeszcze raz podniósł latarkę. I znów to zauważył. Jakiś błysk. Odbicie światła, którego tutaj, w czarnym lesie nie powinno być. Podeszedł bliżej. Spojrzał za siebie, próbując jakoś zapamiętać to miejsce. Było około piętnastu metrów od strumienia. Przykucnął. Wystawał tylko kawałek metalu, ale nie musiał nawet strząsać z niego śniegu, żeby wiedzieć, co to jest. Siekiera. Nieduża. Jeśli wcześniej ostrze pokrywała krew zabitych kur, to teraz zniknęła. Wokół narzędzia nie było żadnych śladów stóp. Harry poświecił i kilka metrów dalej zauważył obciętą gałązkę. Ktoś musiał rzucić siekierą z dużą siłą.

W tej samej chwili Harry znów to poczuł. To samo wrażenie, które wcześniej

tego wieczoru ogarnęło go w Spektrum. Uczucie, że jest obserwowany. Instyktownie zgasił latarkę, ciemność rzuciła się na niego jak koc. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Nie, myślał, nie bądź taki. Zło to nie rzecz, ono nie przenika. Przeciwnie, zło to brak czegoś. Brak dobroci. Jedyńm, czego możesz się tutaj bać, jesteś ty sam.

Ale wrażenie nie chciało ustąpić. Ktoś się w niego wpatrywał. Coś. Tamci. A na polankę przy strumieniu sączyło się światło księżyca. Dostrzegł tam jakby zarys sylwetki.

Zapalił latarkę i skierował ją na polankę.

To była ona. Stała wyprostowana i nieruchoma między drzewami, patrzyła na niego, nie mrugając, tymi samymi wielkimi sennymi oczami co na zdjęciu. Harry w pierwszej chwili pomyślał, że jest ubrana jak panna młoda, cała w bieli, że tu w środku lasu idzie do ołtarza. W świetle aż lśniła. Z drzeniem wciągnął powietrze i sięgnął do kieszeni kurtki po komórkę. Bjorn Holm odebrał po drugim dzwonku.

- Ogradzajcie wszystko – nakazał Harry. W gardle mu zaschło, czuł się tak, jakby miał w nim trociny. – Wzywam posiłki.

- Co się stało?

- Tu stoi bałwan.

- I co z tego?

Harry wyjaśnił.

- Tego ostatniego nie usłyszałem. Strasznie słaby zasięg!

- Głowa – powtórzył Harry. – Głowa należy do Sylvii Ottersen.

Na drugim końcu zapadła cisza.

Harry poprosił jeszcze, żeby Holm przyszedł tu po śladach. Potem przykucnął przy drzewie, zapiął płaszcz pod samą szyję i zgasił latarkę, żeby oszczędzać baterię. Pomyślał, że prawie już zapomniał, jaki smak ma ciemność.